

biuletyn informacyjny



Politechniki Wrocławskiej

Założony w styczniu 1982

"Spisane będą czyny i rozmowy..." Cz. Mitosz

Numer specjalny
marzec 1988

*Radość Święta Wielkanocy
niech będzie każdemu
pokrzepieniem w codziennym trudzie*
Wrocław, Wielkanoc'88
Redakcja

Wszystko jest w naszych rękach

Wywiad z Markiem MUSZYŃSKIM

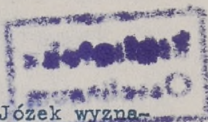
Przewodniczącym RKS NSZZ "Solidarność" w latach 1983-1987

Redakcja: Jest to jeden z pierwszych wywiadów, na który się zgodziłeś. Twoi koledzy - inni znani przywódcy związkowi - goszczą często na łamach prasy czy antenach radiowych, a Ty zachowujesz milczenie. Dlaczego? Czy nie lubisz prasy, czy też jesteś urodzonym "miłośnikiem"?

Marek Muszyński: Prasę niezależną owszem lubię i w okresie kiedy mogłem podejmować decyzje starałem się z całej mocy by jej pomagać. Ale to prawda, że od czasu gdy przestałem się ukrywać udzieliłem tylko jednego wywiadu - ponad rok temu dla pisma Replika. Poza tym - wolałem milczeć i przyglądać się temu, co się dzieje. Na to, że teraz tu siedzimy, niemały wpływ na fakt, że jesteś przedstawicielem pisma zakładowego mojego macierzystego ogniska "Solidarności". Stara miłość nie rdzewieje. Ale nawet Tobie wiele rzeczy powiedzieć jeszcze nie mogę. Dlatego nie gniewaj się, gdy o jakichś sprawach nie będę chciał rozmawiać.

R. Ale masz na pewno mnóstwo do powiedzenia. Jesteś tym, który najdłużej stał na czele wrocławskiego RKS i wchodził w skład TKK. Zatem cofnijmy się do początków. Jak to było, gdy przejmowałeś kierownictwo regionalnej "Solidarności" i to w momencie, gdy po trzech kolejnych "wpadkach" szefów RKS, Związek we Wrocławiu stał na progu unicestwienia?

M.M. Ukrywałem się od ogłoszenia stanu wojennego, a właściwie od rozbięcia przez ZOMO strajku okupacyjnego na Politechnice. W lutym 1983 odbyły się w RKS wybory, w wyniku których powierzono mi funkcję jednego z wiceprzewodniczących. Było to już po wpadce Władka /5 października 82/ i Piotрка /7 listopada 82/, a jak pamiętamy - przewodniczącym był Józef Pinior. Niestety już 23 kwietnia 83 i on został aresztowany - i sytuacja w Regionie stała się bardzo trudna, zarówno ze względów psychologicznych jak i organizacyjnych. Ostatecznie każda wpadka - a szczególnie przewodniczącego Regionu -



Jakoś tam wzbogaca informacyjnie SB. Przed samym aresztowaniem Jozek wyznaczył swego potencjalnego następcę i był nim ten drugi wiceprzewodniczący. Jednak zaraz po wypadce Józka wypłynęły pewne zastrzeżenia wobec niego.

R. Jakiego charakteru?

M.M. Dotyczyły spraw moralno-etycznych, a ponadto jego osoba nie dawała gwarancji bezpieczeństwa. O tym wszystkim zostałem powiadomiony przez RKS, a także - bagatela - że w tej sytuacji RKS chce powierzyć mi funkcję przewodniczącego. Dla mnie była to decyzja bardzo trudna. Przeważało szaleństwo, że będąc ukrywającym się sądziłem, że prędzej czy później i tak jestem "skazany na pożarcie". Więc powiedziałem "zgadzam się" choć była to ciężka decyzja. 23 V 83 - pamiętam jak dziś - na posiedzeniu RKS odbyło się formalne głosowanie, w wyniku którego zostałem wybrany na przewodniczącego.

R. Czym był wówczas RKS, na którego czele stanąłeś?

M.M. Regionalny Komitet Strajkowy NSZZ "Solidarność" Regionu Dolny Śląsk - bo to była /i jest do dziś/ pełna nazwa - działał od 13 grudnia 1981. Składał się z przedstawicieli Tajnych Komisji Zakładowych w liczbie kilkunastu osób. Skład RKS w przeciągu tych lat wahał się - zarówno liczebnie jak i personalnie. Te zmiany wynikały m.in. ze względów bezpieczeństwa.

R. Jako nowy przewodniczący, obrany w tak dramatycznym momencie, musiałeś wiele zmienić w organizacji pracy RKS. Sądzę, że najwyższy priorytet miały wówczas sprawy bezpieczeństwa. Powiedz, co zrobiłeś, że SB po trzech szybkich sukcesach Ciebie szukała bezskutecznie przez prawie 5 lat?

M.M. No cóż, nie w pełni jesteśmy panami swego losu, ale oprócz zdania się na Opatrzność już na początku miałem pewne plany zmian. Po wypadkach Władka i Piotрка powstała komisja analizująca przyczyny tych aresztowań. Ja, z ramienia RKS, nadzorowałem pracę tej Komisji, byłem więc bogatszy o jej ustalenia. Wiedziałem, co muszę zmienić. Niestety trzeba było odsunąć wiceprzewodniczącego, na którym byłem cieniem podejrzeń. Trzeba było też zmienić wszystkie struktury, o których on wiedział. Wszystkie - łącznie z poligrafią, kolportażem, organizacją RKS-u. Gigantyczna operacja organizacyjna.

R. Czy to się odbiło na składzie RKS?

M.M. Tak. Przy czym nigdy w RKS-ie nie stosowaliśmy zasady "mianowania" czy też "kooptowania" członków. Wszyscy byli delegowani przez swoje zakłady pracy. RKS mógł jedynie w stosunku do tak delegowanych osób zgłosić veto. Ale to zrozumiałe w warunkach ścisłej konspiracji.

R. Jakie były największe trudności?

M.M. Od razu po moim wyborze pojawiły się wielkie trudności z poligrafią. Wówczas ukazywało się tylko "Z Dnia na Dzień" - ot, jedna dwustronnie za-drukowana kartka formatu A4. Trudności dotyczyły zarówno pracy redakcji jak i druku. Nie zgodziłem się na "przerwę wakacyjną" dla redakcji, co spowodowało konieczność poszukania nowego zespołu. Początkowo musiałem sam redagować. Zwiększyliśmy wówczas objętość pisma do 4 stron. Natomiast okres wakacyjny wykorzystaliśmy na dokonanie zmian organizacyjnych, szczególnie w kierunku umocnienia bezpiecznych kontaktów z zakładami pracy oraz odtworzenia wielu agend RKS. Te wakacje, które są okresem urlopowym także dla SB, bardzo nam się wówczas przydały.

R. A jak z Twoimi wakacjami? Powiedz, czy stanowisko Przewodniczącego RKS to ciężka praca, czy też obijanie się "na melinie"? Ile godzin dziennie pracowałeś?

M.M. Początkowo niemal całą dobę. Dosłownie. Kładłem się spać gdy było jasno, a często nie kładłem się wcale. Nawet po wyprowadzeniu spraw organizacyjnych "na prostą" zawsze było wiele więcej niż te 8 godzin na państwowym etacie. Przewodniczący nie może liczyć godzin jeśli chce, by praca szła do przodu.

R. Co zajmowało najwięcej czasu?

M.M. Kontakty z ludźmi i uzgadnianie poszczególnych działań, tym bardziej, że często występowały nieprzewidziane okoliczności, które /szczególnie w warunkach niezbędnej konspiracyjnej ostrożności/ sprawiają, że wszystko staje się szalenie czasochłonne. Najprostsze sprawy zabierają dziesięć razy więcej czasu, niż gdy można je załatwić np. telefonicznie. Na dodatek ze względów bezpieczeństwa trzeba było opierać gros pracy na ludziach nie znanych policji, którzy dopiero zdobywali konspiracyjne doświadczenie. Nie wiadomo było przecież jak głęboko sięga ewentualne rozpracowanie przez SB naszych struktur. Wraz z paroma najbardziej zaufanymi współpracownikami harowaliśmy wówczas jak szaleni. Czuliśmy, że każdy mijający dzień jest naszym sukcesem. Schudłem wtedy o 15 kg.

R. A jak Ty w tym tkwiłeś, jak Ty, siedząc "na melinie", pociągałeś za te wszystkie sznurki?

M.M. Masz, widzę, trochę książkowe wyobrażenie o pracy konspiracyjnej. Ja wcale "na melinie" nie siedziałem - normalnie chodziłem po mieście. Założyłem, że moja fizjonomia nie jest zbyt dobrze znana policji i normalnie poruszałem się - tramwajami, autobusami, taksówkami... i czułem się dość pewnie wśród ludzi.

R. Czy człowiek, żyjący tak jak Ty wówczas, ze świadomością, że jest na samym szczycie listy ściganych przez policję całego regionu, czy w takim człowieku powstaje instynkt "ściganego zwierzęcia"?

M.M. Mnie się wydawało, że nie, ale ludzie, którzy znali mnie wcześniej uważali, że jest coś takiego - w postawie, w ruchach, w spojrzeniu. Zwalczając to - ale czy do końca? Nawiazując do mojej komputerowej działalności zawodowej powiem tak: ten stan wzmoczonej czujności ściganego zwierzęcia pojawia się w przerwaniach, nie zakłócając normalnego działania w okresach pozostałych. I te "przerwania" są często wręcz poza świadomością.

R. A co to było z Twoim pseudonimem? Na początku nie byłeś Markiem Muszyńskim, lecz podpisywałeś się "Witold". Dlaczego?

M.M. To było wyraźnym nakazem RKS i miało na celu zwiększenie bezpieczeństwa. Byłem "Witoldem" prawie cały rok, do maja 1984. Nieco wcześniej otrzymałem informacje, że SB albo rozszyfrowała kto ukrywa się pod tym pseudonimem, albo też zawęziła podejrzenia do grona dwóch osób. Ja nie przywiązywałem do pseudonimu aż tak dużego znaczenia. Uważałem, że ten sposób zwiększenia bezpieczeństwa jest dość iluzoryczny. Uważałem jednak także, że nie mam nazwiska znanego z okresu przedgrudniowego i dla szeregowych członków Związku pseudonim "Witold" czy nazwisko Muszyński są niemal tak samo anonimowe. Do rezygnacji z pseudonimu nakłaniali mnie bardzo energicznie moi koledzy w TKK, którzy podpisywali oświadczenia własnymi nazwiskami, ale musiałem uzyskać na to zgodę RKS.

R. A czym wówczas była TKK, której członkiem stałeś się niejako z "urzędu" po objęciu kierownictwa w Regionie. Czy to był zarząd Związku i kto był jego przewodniczącym?

M.M. Gdy w kwietniu 82 powstawała TKK - czyli Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ "Solidarność", to pierwszy komunikat podpisali ludzie znani w całym kraju, ludzie o uznanym autorytecie. Były to pierwsze miesiące stanu wojennego i TKK była raczej symbolem i świadectwem niż faktycznym kierownictwem. Gdy ja wchodziłem do TKK w 1983, sytuacja w Kraju była już inna. Miałem świadomość, że walka podziemnego Związku liczona będzie nie na miesiące, lecz na lata i że potrzebne jest faktyczne, operacyjne kierownictwo. Dlatego rozpoczęliśmy wraz z Gienkiem Szumiejko - również ówczesnym członkiem TKK - długotrwałe i żmudne zabiegi o przekształcenie TKK w tym właśnie duchu. Chodziło nam głównie o rozszerzenie składu TKK o reprezentantów innych regionów, położenie większego nacisku na sprawy organizacyjne, zniesienie zasady weta przy podejmowaniu decyzji. Udało się to w pełni dopiero w 1986 r. Przewodniczącym TKK nie było. Wprawdzie niektórzy korespondenci zagraniczni za takiego uważali Zbyszka Bujaka i on chyba nawet nie protestował, ale tak naprawdę to w TKK nie było ani przewodniczącego, ani prezydium.

R. No właśnie, a jak TTK podejmowała decyzje? Czy kłóciliście się, czy głosowaliście?

M.M. Obowiązujące zasady - taki wewnętrzny regulamin - spisano dopiero w roku 1986. Poprzednio obowiązywała zasada consensusu. To znaczy spieraliśmy się bardzo ostro, ale opublikowana decyzja wymagała zgody wszystkich członków. Tak więc praktycznie obowiązywała zasada veta. Miało to czasem dobre strony, ale w późniejszym okresie - w latach 1985 i na początku 1986, przyczyniło się do paraliżowania działań TTK.

R. Jaki był skład TTK?

M.M. Początkowo Ci, którzy podpisali oświadczenia nazwiskami, a więc ok. 5 osób - aresztowania zmieniały ten skład. Później - jak już wspominałem - przedstawiciele innych regionów. Przy czym w zebraniach brali udział doradcy lub czasem zaproszeni goście, ale tylko członkowie mieli prawo głosu.

R. Czy liczyliście się z możliwością, że ktoś przyciągnie "ogon" na posiedzenie i że SB zwinie całą TTK?

M.M. Oczywiście, wszyscy braliśmy to serio pod uwagę i już nie całkiem serio było to często przedmiotem żartów w czasie zebrania. Opracowano zasady działania Związku na taką okoliczność. No i stosowano ściśle przestrzegane środki bezpieczeństwa, za które każdorazowo odpowiadał region będący gospodarzem spotkania. O szczegółach niestety nie mogę mówić. Kto wie - może jeszcze się przydadzą?

R. Pomówmy trochę o sporach w łonie TTK. Czego głównie dotyczyły: taktyki działania Związku, konkurencji między Regionami, ambicji poszczególnych działaczy? Co tkwiło u korzeni większości sporów?

M.M. Patrząc na to z dzisiejszej perspektywy sędzę, że była taka zasadnicza przyczyna większości sporów. Myślę tu o różnicy w koncepcjach funkcjonowania Związku w regionach. Różnica ta występowała głównie między Dolnym Śląskiem i Małopolską z jednej strony, a Mazowszem z drugiej. U nas podstawą była obecność struktur związkowych w zakładach pracy a niezmiennie obowiązywała zasada przedstawicielstwa tych struktur w ciałach związkowych takich jak MKK i wyżej w RKS. Dla nas struktury związkowe składały się z przedstawicieli delegowanych przez grupy związkowe, a nie z ludzi o trochę bardziej znanych nazwiskach. Natomiast w Mazowszu skupiono się znacznie bardziej na - nierzadko spektakularnych - działaniach wąskich grup związkowych, pozwalając, by więc z zakładami więdka. Warszawskie gremium kierownicze było grupą liderów o znanych nazwiskach, a nie autentycznych delegatów niższych struktur związkowych. My do działalności społeczno-politycznej podchodziliśmy jak amatorzy, a nasi koledzy z Warszawy jak zawodowcy. A to ogromna różnica w optyce widzenia, w koncepcjach działania... Podam taki przykład: gdy wzywaliśmy do bojkotu wyborów do rad narodowych, trzeba było w TTK mocno wojować, by jednocześnie ogłosić, że Związek podejmuje niezależną kontrolę frekwencji. Niektórzy członkowie nie chcieli nawet otwartego wezwania do bojkotu, nie mówiąc już o niezależnej kontroli.

R. W niektórych kręgach funkcjonowała opinia, że warszawski członek TTK, czyli Zbyszek Bulak, był wyrazicielem dążeń nie tyle struktur związkowych, co grupy doradców. Czy zgadzasz się z tym sądem?

M.M. Za mało znam środowisko warszawskie by mieć pewność, ale często miałem takie wrażenie.

R. Te spory były chyba silne, bo zauważałem, że warszawscy koledzy nie darzą Cię sympatią. W Stolicy rozpuszczano o Tobie niestworzone plotki, począwszy od tego, że nie lubisz kultury i nauki i chcesz przekazać na cele związkowe wszystkie pieniądze, jakie otrzymuje niezależna kultura, aż po dyskretne szept, że jesteś schizofrenikiem pożerającym fobią antywarszawską. Jak to było z tą kulturą?

M.M. Plotka ma to do siebie, że z białego potrafi zrobić czarne. A z kulturą było tak. W roku - bodaj 1985 - zwrócili się do mnie przedstawiciele

wrocławskiego Komitetu Kultury Niezależnej z prośbą, bym użył swego autorytetu w celu zwiększenia kwot, jakie otrzymywali z Warszawy. Środki na ten cel pochodziły z dotacji rozmaitych zachodnioeuropejskich i amerykańskich fundacji i stowarzyszeń. Gdy zbadałem sprawę - włosy stanęły mi dęba. Większość otrzymywanych pieniędzy zostawała w Warszawie, a tylko reszta docierała do "reszty kraju". To już było coś więcej niż podział na Polskę A i Polskę B. Zacząłem na gruncie TKK intensywnie zabiegać o zmianę tej sytuacji. Jednocześnie doradziłem wrocławskim kolegom, aby się zjednoczyli - w ten sposób powstało dolnośląskie Porozumienie Społecznych Komitetów Kultury, Nauki, Oświaty i Zdrowia. Wspólnie staraliśmy się o pieniądze na ich działalność. Tak więc starałem się wydrzeć pieniądze nie od kultury czy nauki - ale dla dolnośląskiej kultury i nauki. A jeśli idzie o stan mego zdrowia psychicznego, no cóż, takie plotki są dowodem, że niektórzy stosują zniesławienie jako oręż w walce politycznej. I to jest bardzo smutne.

R. Czy te Twoje starania były skuteczne?

M.M. Efekt pozytywny był, bowiem środki na ten cel, jakie obecnie trafiają na Dolny Śląsk, są znacznie większe niż poprzednio. Ale nadal - no, może z wyjątkiem Społecznego Komitetu Nauki - Wrocławianie nie są dopuszczani do uczestnictwa przy podejmowaniu decyzji o podziale. A więc nadal są raczej potentami niż partnerami kolegów z warszawskiej centrali.

R. A jak ze środkami na działalność związkową? Kto je dzielił i czy sprawiedliwie?

M.M. Środki te pochodziły z dwóch zasadniczych źródeł: ze składek członkowskich w regionach - tu byliśmy potentatami w stosunku do reszty kraju - oraz z dotacji zagranicznych central związkowych. Jeśli chodzi o te ostatnie, to podziału dokonywała TKK i w moim przekonaniu nie można tu wnosić zastrzeżeń.

R. Czy to były wielkie pieniądze?

M.M. Wbrew rządowej propagandzie - raczej małe. Nigdzie na świecie związki zawodowe nie są bardzo bogate, toteż nie mogą wiele dawać - dzięki im i za to. Jeśli wszystko szło planowo, to tzw. "duży region" - czyli np. Dolny Śląsk - otrzymywał rocznie 12 tys. zł, a i to dopiero w ostatnich latach mej kadencji.

R. Ja bym Dolnemu Śląskowi nie dał ani grosza. Przecież ocalił te skrytne 80 milionów. Coście z nimi zrobili?

M.M. To bolesna sprawa - te pieniądze więcej przyniosły kłopotów i "złej krwi" niż pożytku. Ja mogę powiedzieć tylko jedno: w okresie 4 lat, kiedy byłem przewodniczącym RKS-u, otrzymałem i wydatkowałem z tych pieniędzy tylko 4 miliony. Reszta była niedostępna dla RKS. Niestety nie więcej powiedzieć nie mogę.

R. Wielkim sukcesem Wrocławia był udany bojkot wyborów do Rad Narodowych i do Sejmu. Czy to był przypadek, czy wynik działalności RKS.

M.M. No, takie rzeczy nie dzieją się przypadkowo. Jaki był udział RKS-u, to oczywiście trudno powiedzieć, ale wyświłek organizacyjny był ogromny. Zarówno w przygotowaniu propagandowym bojkotu, jak i w akcji sprawdzania frekwencji. Muszę tu podkreślić, że sprawdzanie było bardzo rzetelne i mogę gwarantować, że wynik jaki podaliśmy był prawdziwy. Może nawet nieco zawyżony.

R. Jaki to był wynik?

M.M. W wyborach do Sejmu, kiedy to frekwencja była nieco wyższa niż w poprzednich do Rad Narodowych w 1984 r., oceniliśmy, że frekwencja wynosiła 45% z błędem ± 2%. Czyli mniej więcej o 25% mniej niż podawał komunikat władz i co najmniej o 10% mniej niż frekwencja obliczana przez Związek w innych regionach. To był wielki wysiłek struktur związkowych - ale i wielki sukces. Żadne wielkie miasto w Polsce nawet nie zbliżyło się do tego wyniku i to zarówno podczas wyborów do Sejmu jak i do Rad Narodowych.

A tak na marginesie - to bardzo żałuję, że Związek nie podjął niezależnej kontroli frekwencji podczas niedawnego Referendum. Jestem pewien, że

procent bojkotujących był jeszcze wyższy. A wrocławskie struktury związkowe stały się na przeprowadzenie takiej akcji.

R. Co Twoim zdaniem było największym sukcesem wrocławskich struktur związkowych w okresie, gdy nimi kierowałeś?

M.M. Ja nie przywiązuję zbytnej wagi do doraźnych, krótkotrwałych, choćby spektakularnych osiągnięć. Dla mnie najważniejsze było to przejście od sytuacji na wiosnę 1983 r., kiedy większość czekała na decydujący cios władzy, na ostateczną likwidację wrocławskiej Solidarności, do zupełnego nowego układu sił w 1986 r., kiedy Region Dolny Śląsk uważany był za najmniej uległy w Polsce. Przez te lata Związek okrzepł, działacze zahartowali się, a członkowie uwierzyli, że "Solidarność", choć w podziemiu, jest i będzie. Właśnie ci bezimienni ludzie są tą "solą ziemi", dzięki której Związek nadal istnieje.

R. A ilu było członków w ostatnim roku Twojej kadencji?

M.M. Myślę, że jedynym w miarę obiektywnym sposobem oceny członkostwa jest liczba wpłaconych składek. Ale można to określić tylko szacunkowo, na podstawie kwot odprowadzanych do RKS. Zgodnie z uchwałą z grudnia 85 powinno to być 20%. Dodatkową trudnością jest oszacowanie przeciętnej składki. Niby to powinno być 2% zasadniczego uposażenia, ale ta reguła nie jest zbyt skrupulatnie przestrzegana. Jedni płacą 100 zł, ale inni nierzadko 1000 zł miesięcznie. Licząc "optymistycznie" i "pesymistycznie" dochodziliśmy do wniosku, że we Wrocławiu płacono regularnie składki związkowe od 10 do 15 tysięcy osób. To niewiele, jeśli porównywać z okresem przedgrudniowym, ale kilka czy kilkanaście razy więcej niż w innych regionach.

R. Mam wrażenie, że jeszcze jednym wyznacznikiem działalności Związku we Wrocławiu jest prasa zakładowa. W innych regionach tylko największe - i to nie wszystkie zakłady - regularnie wydają swe gazetki. A we Wrocławiu jest ich co najmniej kilkanaście, a może i więcej.

M.M. Ta trwałość i regularność wydawania autentycznie zakładowych, robotniczych gazetek jest rzeczywiście imponująca. RKS starał się w tym pomagać, ale surowszymi twórcami tego sukcesu są bezimienni autorzy, drukarze i kolporterzy zakładowi. Zawsze miałem dla nich wiele podziwu i uznania. Warto tu zauważyć, że jednymi z najuważniejszych czytelników tych gazetek są dyrekcje zakładów i niejednokrotnie - choć skrycie - bardzo się z nimi liczą.

R. A jak oceniasz, ile jest we Wrocławiu autentycznie działających, związanych z RKS-em Tajnych Komisji Zakładowych?

M.M. Nie jest to liczba stała, zmienia się. Jedne komisje wiedną, ich działalność ustaje, inne zawieszają na jakiś czas swą aktywność, by potem ponownie się ożywić, jeszcze inne - choć muszę z śalem stwierdzić, że są to rzadkie przypadki - zawiązują się. W każdym razie, takich komisji zakładowych uczestniczących w życiu Związku, odprowadzających składki, otrzymujących i kolportujących prasę związkową, przyznających zasiłki statutowe, przekazujących informacje /z tym zawsze było nie najlepiej/, uczestniczących w dużych akcjach /np. wybory/, no i wreszcie nierzadko wydających własną "bibułę", takich aktywnych komisji było w 1986 r. kilkadziesiąt.

R. A strajki i demonstracje?

M.M. Zarzucanie Związkowi, że nie jest w stanie zorganizować strajku jest dziecinne. Ani struktury Solidarności, ani nikt inny nie jest w stanie "dyrygować morzem", jakim są robotnicze nastroje. Natomiast Związek powinien znać te nastroje, przewidywać je oraz w pewnym sensie kształtować poprzez uświadamianie i wyjaśnianie mechanizmów polityczno-społeczno-gospodarczych rządzących w naszym kraju. Powinien być gotów, by wspomóc i pokierować strajkiem zrodzonym spontanicznie.

R. Na polu tej działalności RKS nie miał wyłączności. We Wrocławiu działała od 1982 roku Solidarność Walcząca. Jak układały się stosunki z tą organizacją?

M.M. No cóż, różnie, rozmaite były okresy. Na początku Kornel Morawiecki udzielił mi sporej pomocy, co było ważne w tych początkowych trudnych miesiącach. Muszę tu powiedzieć, że wbrew niektórym pogłoskom nigdy nie było wrogoci między Kornelem i mną. Ale było dla mnie oczywiste, że nie wolno mi uzależnić Związku od SW; nawet w najtrudniejszych momentach. Tarcia między dwoma organizacjami oczywiście były. Trzeba tu pamiętać o temperamencie działaczy, którzy ocierali się o siebie w różnych akcjach. Okras pewnych niesnasek zakończył się w kwietniu 86, kiedy na spotkaniu z Kornelem ustaliliśmy warunki współpracy. To było bardzo ważne dla Regionu, a duch tego spotkania trwa do dziś.

R. Przejdźmy do czasów najnowszych. Przełomem w sytuacji Związku zdaje się być rok 1986. Co się wówczas stało?

M.M. W początkach 1986 sytuacja Związku wydawała się ustabilizowana. Na Dolnym Śląsku dostrzegaliśmy wzrost aktywności ludzkiej, znaczny wzrost odprowadzanych składek, byliśmy pełni optymizmu. TTK planowała zorganizowanie tajnego Zjazdu Solidarności - no, oczywiście nie takiego jak w Orlim, ale z udziałem kilkudziesięciu delegatów z wszystkich regionów. Wszystko było przygotowane w najdrobniejszych szczegółach, aż tu na jakiś tydzień wcześniej, 31 maja, aresztowano w Warszawie Zbyszka Bujaka i dwoje jego kolegów z RKW. To był silny cios dla nas wszystkich - w TTK pozostało już tylko 2 ludzi z jawnymi nazwiskami - Janek Górny i ja. Ale czasem tak bywa, że nieszczęścia mobilizują ludzi. TTK, na przekór wszystkiemu, zaczęła działać intensywniej. Było to zresztą - o ironio - łatwiejsze, bowiem różnica koncepcji działania Związku między Mazowszem i Polską Południową w poprzednich miesiącach niemal sparaliżowała aktywność TTK. W ciągu paru następnych miesięcy zrobiliśmy wiele - od ustalenia i przyjęcia zasad działania Związku w podziemiu - łącznie z rozszerzeniem TTK o przedstawicieli pozostałych 7 regionów - po afiliację "Solidarności" w MKWZZ i SKP. TTK zaczęła działać sprawniej, a Związek uzyskał wreszcie kierownictwo operacyjne z prawdziwego zdarzenia, choć dla tych, którzy oceniają te sprawy pod kątem ilości wydawanych oświadczeń, nie było to może takie widoczne.

R. A czy Zjazd się odbył?

M.M. Nie, ze względu na bezpieczeństwo - nikt nie wiedział, co "wpadło" razem ze Zbyszkiem - Zjazd trzeba było odwołać, jak się wkrótce okazało - szkodnie. Szkoda, bo był wówczas bardzo potrzebny.

R. I co było dalej?

M.M. Było także trochę spraw nieprzyjemnych. Aresztowanie Zbyszka przeraziło grupę warszawskich doradców. Jak sądzę wielu z nich uważało, że jest to koniec Związku. A co najmniej koniec kontroli, jaką oni sprawowali nad krajowym kierownictwem Solidarności. Sprawy zaszyły tak daleko, że w czerwcu chciano zorganizować coś na kształt "zamachu stanu" w Związku. Zamachu, który zapewne miał na celu usunięcie TTK. Miało to mieć miejsce na spotkaniu przedstawicieli samorządów pracowniczych, które miało się odbyć - o ironio - w połowie czerwca we Wrocławiu. Otrzymaliśmy informację o tych planach, TTK zebrało się w trybie nagłym na parę dni wcześniej, i to oraz zdrowy rozsądek większości wrocławskich uczestników spotkania spowodowało, że wówczas działania te zostały udaremnione. Zrozumieliśmy jednak, że grupa warszawskich "planistów" na tym nie poprzestanie i będzie nadal próbować zlikwidowania kierownictwa Krajowego, rozumianego jako gremium przedstawicieli struktur związkowych. Robiono to na różne sposoby, najczęściej głosząc tezę, że Związek i jego struktury to przeszłość, a pozostała tylko idea, amorficzny ruch i grupa sprawdzonych liderów. Że diabli wiedzą kto zacznie ci przedstawicieli struktur /może jacyś agenci/, a dawni działacze zdobyli sobie kredyt zaufania itp., itd.... Różnie argumentowano. Jednocześnie skusnie skądinąd oceniając, że głównym architektem i motorem takiej właśnie roli i sposobu funkcjonowania TTK jest dolnośląski RKS, zaczęto podważać jego wiarygodność. Stąd brały się te "w największym zaufaniu" rozpuszczane "rewelacje", że RKS to fikcja, że nie ma on żadnego oparcia w zakładach pracy itp. Posunięto się nawet do prób powoływania konkurencyjnego "prawdziwie robotniczego" - jak go

nazywali - RKS-u. Nie usiłowaliśmy nawet polemizować z tymi bredniami uważając, że fakty mówią same za siebie. "Fikcja", która zbiera 10 razy więcej składek niż jakikolwiek inny region, "fikcja", która potrafi zorganizować i skutecznie przeprowadzić kontrolę fałszerstwa wyborczego - zaiste, to prawdziwa dialektyka. Tak samo zresztą oceniali to dolnośląscy działacze "S", nawet ci niezwiązani ze strukturami RKS. Nigdy nie znaleźliśmy wówczas nikogo, kto chciałby firmować te rozbijackie poczynania.

R. No, ale w półtora roku później, pod koniec 1987, dopięto swego. Dziś TKK już nie ma. W międzyczasie był wrzesień 86 i zwolnienie więźniów politycznych ...

M.M. Tak, to był dla nas wielki dzień. Przecież to właśnie na Dolnym Śląsku prowadziliśmy najintensywniejszą kampanię w obronie więzionych za przekonania, pod naczelnym hasłem "Uwolnić Władysława Frasyniuka". I 11 września był dla nas niejako dniem zwycięstwa - Władek i niemal wszyscy /choć nie wszyscy/ "polityczni" wyszli na wolność. Niestety w życiu radość zawsze jest przemieszana z goryczą. Tak było i tym razem.

R. Dlaczego?

M.M. Na wolność wyszli ludzie o znanych nazwiskach, którzy zapisali również piękną kartę przebywając za kratami. Z szeregu względów nie mogli - a też chyba i nie chcieli - schodzić do podziemia. Ale ich temperament działaczy nie zadowalał się rolą doradców, kombatanckich autorytetów. I to właśnie ze zwielokrotnioną ostrością postawiło stary problem: czy kierownictwo Związku, tak krajowe jak i regionalne, ma grupować przedstawicieli struktur, czy też przywódców o znanych z przeszłości nazwiskach. Dolnośląski RKS opowiadał się zawsze za reprezentacją struktur i to możliwie dobrze zakonspirowaną.

R. Ale utworzenie jawnej TRS i ujawnienie wielu komitetów regionalnych było wyborem przeciwną opcji, czyż nie?

M.M. Tak, to był wynik wielkiej ofensywy doradców i działaczy stołecznych. Początkowo próbowano utworzyć jawną radę kilkudziesięcioosobową powołaną i mianowaną przez Lecha Wałęsę lub TKK. Na to nie było zgody, ale Wałęsa - być może pod groźbą nieuchronnego ujawnienia się RKW Mazowsze - zdecydował się powołać niewielką radę, w skład której wchodziłi byli członkowie TKK - choć też nie wszyscy. Wchodzili jawnie i działali - a może raczej spotykali się, bo innego działania to tam chyba nie było - też niemal jawnie. Odbiło się to w atmosferze buńczucznych enuncjacji niektórych działaczy, że Związek kończy swą działalność podziemną. Na szczęście tylko nieliczne struktury zakładowe posłuchały tych wezwań do ujawnienia się. Gdyby było inaczej, to rzeczywiście byłby koniec "Solidarności". Ale to zamieszanie przyniosło wiele, wiele szkody. My czuliśmy się wtedy bardzo przygnębieni. W RKS-ie zdecydowaliśmy, że nadal podstawą działania Związku są tajne struktury w zakładach pracy, tajne struktury międz Zakładowe i regionalne, i że nie powołamy żadnej jawnej rady.

R. Pozwól, że zapytam dlaczego przyjęliście takie pryncypialne stanowisko?

M.M. Od samego początku zdawaliśmy sobie sprawę z fizycznej niemożności istnienia jawnego kierownictwa Związku, obojętne - szczebla zakładowego, regionalnego czy krajowego. To nie czasy sprzed 13 grudnia. Czerdziesiąć parę lat życia w tym systemie powinny nas w końcu czegoś nauczyć. Przecież, na dobrą sprawę, takie jawne gremium nie jest się w stanie nawet zebrać - nie mówiąc już o jakiegokolwiek działalności - o ile policja na to nie przyzwoli. Udawanie, że jest inaczej, to po prostu zamykanie oczu na rzeczywistość.

R. Ale wkrótce po utworzeniu TRS odbyło się spotkanie TKK, na którym Lech Wałęsa potwierdził konieczność istnienia tajnych struktur.

M.M. Nie tylko konieczność istnienia, ale również ich priorytet. To było bardzo burzliwe posiedzenie, a końcowe oświadczenie, podpisane też przez Lecha Wałęsę, współbrzmiało z wcześniejszą deklaracją naszego RKS. Ale Prze-

wodniczący zażądał od nas - a ściślej od Janka Górnego i ode mnie - byśmy przestali się ukrywać. Spełniłem to polecenie w ten sposób, że wziąłem udział w niedzielnej Mszy św. w kościele przy Alei Pracy i poszedłem do domu, po raz pierwszy od niemal 5 lat nie rozglądając się dookoła czy jestem śledzony. Oczywiście byłem. W parę dni później zatrzymano mnie i wszczęto śledztwo, ale to już inna historia.

R. Czy odczułeś ulgę przestając się ukrywać?

M.M. Ukrywanie się przez wiele lat nie było lekkie ani dla mnie, ani też dla mej rodziny. Ale decyzja o wyjściu „na powierzchnię” nie miała nic wspólnego z mymi osobistymi uczuciami. Uważałem wówczas, że wprowadzie dla RKS nie będzie to korzystne, ale że jest to cena, którą trzeba zapłacić za ustalenia podjęte przez TTK i Lecha Wałęsę, ustalenia korzystne dla całości Związku. Uważałem, że te ustalenia są wiążące dla wszystkich, którzy je podejmowali - być może to zaufanie było błędem, bo przyszłość nie potwierdziła mych oczekiwań.

R. Ale przecież, choć „na powierzchni”, nadal kierowałeś Regionem?

M.M. Tak, pozostawałem przewodniczącym RKS do maja 1987, to znaczy do końca mojej kadencji.

R. Jak się układały stosunki między TTK a TRS?

M.M. Praktycznie biorąc - nie układały się w ogóle. TRS powstała „nie zauważają” istnienia TTK. W swym pierwszym oświadczeniu zwracała się nie do członków Związku, ale do władz państwowych i o tajnych strukturach nie wspominała ani słowa. Zresztą TRS, z wyjątkiem wydawania oświadczeń, nie mogła nic zrobić, bowiem nie dysponowała strukturami organizacyjnymi. Ale oświadczeń wydała zdaje się sporo.

R. Po wrześniu 86 we Wrocławiu też powstała trudna sytuacja. Zaistniał trójkąt: RKS z Tobą jako przewodniczącym, SW z Kornelem Morawieckim oraz Władysław Frasyniuk - przewodniczący z okresu legalnego, członkiem o ogromnym osobistym autorytecie tak w Regionie jak i w całej Polsce.

M.M. Tak, to prawda. Ja proponowałem Władkowi, że ustąpię ze stanowiska przewodniczącego RKS i postawię jego kandydaturę na to stanowisko. Sądzę, że przy jego autorytecie członkowie RKS wybraliby go bez wątpienia. Ale musiałyby to być procedury wyborcze, a nie automatyczne przejęcie kierownictwa. Uważaliśmy w RKS, że to jest minimum demokracji wewnątrzwiązkowej, przy którym musimy obstawać. Niestety nic z tego nie wyszło. Ale do sprawy mych stosunków z Władkiem mam jeszcze zbyt mało dystansu, by o nich mówić publicznie. Może przy okazji następnego wywiadu?

R. Z końcem maja 87 kończyłeś drugą dwuletnią kadencję. RKS przyjął zaśladę, że w konspiracji można pełnić funkcję przewodniczącego przez więcej niż dwie kadencje - ale Ty nie chciałeś ponownie kandydować. Dlaczego?

M.M. Istniały trzy zasadnicze powody mego odejścia - choć, co z przyjemnością podkreślam, były silne naciski ze strony kolegów z RKS, bym zgodził się ponownie kandydować. Pierwszy powód to przekonanie, że zasada „dwukadencyjności” nie powinna być łamana. Każda władza - nawet ta związkowa - wnosi jakieś skrzywienie, jakoś tam deprawuje człowieka i po czterech latach powinno się odejść. Dla swego dobra - i dla dobra innych. Drugi powód był związany z napięciem istniejącym między Władkiem a RKS-em. Uważałem, że być może ja jestem tego przyczyną, że może to mój charakter utrudnia dobrą współpracę i nowy członek potrafi lepiej ułożyć te stosunki. Trzeci powód był natury osobistej i sądzę, że nie ma potrzeby o nim mówić.

R. No i przekazałeś kierownictwo swemu demokratycznie wybranemu następcy.

M.M. No i przekazałem. Choć nadal mam do RKS - jakby to powiedzieć - bardzo ciepłe, trochę ojcowskie uczucia. Cóż chcesz - po tylu, i to niełatwych, latach.

R. A co dzisiaj, już z pozycji nie przewodniczącego RKS, ale członka Związku, sądzisz o ostatnich wydarzeniach. Mam tu na myśli sprawę przekazania przez Wałęsę miliona dolarów na fundację służby zdrowia, sprawę powołania KKW oraz treści tych hałaśliwych oświadczeń, jak np. oświadczenie RKW Mazowsze z 13 grudnia 87.

M.M. Nie tylko hałaśliwych. Również upokarzających, w rodzaju tej prośby do władz o cofnięcie podwyżek cen, co było jedyną reakcją KKW na największą w historii PRL obniżkę stopy życiowej społeczeństwa. Sądzę, że wszystkie te sprawy mają wspólny mianownik: odejście od modelu Związku, bazującego na zasadzie przedstawicielskiej. Zerwanie z zasadą, że decyzję podejmują przedstawiciele struktur związkowych i przyjęcie, że kierownictwo jest w rękach małej grupy ludzi o znanych nazwiskach, odpowiedzialnych za swe czyny wyłącznie przed Bogiem i Historią, a nie przed strukturami związkowymi. Zauważ, ci działacze są niejako "dożywotni", nie poddają się zasadzie demokratycznych wyborów i wymienności. Takie podejście uzasadnia się twierdzeniami, że Solidarności nie ma, że została legenda, której ucieleśnieniem jest tych kilkunastu byłych działaczy i doradców. Tylko że członkowie Związku nie bardzo chcą się z tym pogodzić.

R. To wygląda dość ponuro, dlatego pozwól, że ostatnie moje pytanie też zabrzmiał pesymistycznie. Czy "Solidarność" jako związek zawodowy może przetrwać przez nadchodzące lata?

M.M. Wszystko jest w rękach członków Związku, w naszych rękach. Ja mam nadzieję, że przetrwa, ale pod jednym warunkiem. A jest nim to, że setki tysięcy ludzi, którzy w Polsce identyfikują się z "Solidarnością", uświadomią sobie jasno, że Związek to coś więcej niż jedno, dwa czy trzy nawet najślawniejsze nazwiska. Że nasz Związek, nasza "Solidarność", to właśnie Oni. Ci szczyrzy, zmęczeni, zabiegani, okłamywani i okradani, zepchnięci do kolejek ludzie. Oni oraz ich marzenia i nadzieje. Jeśli my wszyscy potrafimy to sobie uświadomić i przekształcić w codzienną działalność wierną ideom demokratycznego związku zawodowego, to uratujemy "Solidarność". W przeciwnym razie jej miejscem będą tylko karty historii.

R. Dziękuję Ci za rozmowę. Obydwaś padamy ze zmęczenia. Napijmy się herbaty.

Marek MUSZYŃSKI

Aktywny uczestnik wydarzeń Marca '68 na Uniwersytecie Wrocławskim, za co był aresztowany i skazany. W roku 1971 ukończył Wydział Mat.-Fiz.-Chem. na Uniwersytecie. Od 1978 r. był pracownikiem Politechniki Wrocławskiej. W czasie jawnego działania Solidarności był wiceprzewodniczącym Komisji Zakładowej. Po wprowadzeniu stanu wojennego ukrywał się. W lutym 1983 r. został wiceprzewodniczącym a od 23 maja 1983 r. do maja 1987 r. pełnił funkcję przewodniczącego RKS-u Dolny Śląsk.

Po wyjściu z podziemia był wielokrotnie zatrzymywany przez SB. W czasie jednej z rewizji zabrano mu między innymi komputer z oprzyrządowaniem. Mimo starań nie został przyjęty z powrotem do pracy na Politechnice Wrocławskiej.